



JACEK PODSIADŁO

**CZERWONA
KARTKA
DLA
SPRĘŻYNY**

NASZA KSIĘGARNIA

Text © copyright by Jacek Podsiadło, 2009
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2016

Projekt okładki i stron tytułowych: *Monika Pollak*
Grafiki: *Agata Raczyńska*

Interpunkcja i ortografia pozostawiona
zgodnie z życzeniem Autora.



Rozdział pierwszy

Wszystko rozstrzygnęło się w siedemdziesiątej trzeciej minucie meczu. Boczny obrońca wrzucił piłkę z autu jeszcze na własnej połowie. Messi przyjął ją i podał po ziemi Robinho, precyzyjnie, do nogi. Do Robinho od razu doskoczyło dwóch przeciwników, zatem ten, nie czekając, mocnym przerzutem przeniósł grę na prawe skrzydło, do Ronaldo. Ronaldo rozejrzał się i nie widząc żadnego z partnerów, z piłką u nogi popędził do przodu. Drogę zagroził mu Ronaldo, więc Ronaldo w pełnym biegu wykonał ten efektowny zwód z obrotem na piłce wokół własnej osi, ale nóżki dziwnie mu się przy tym zaplątały, stracił równowagę jakby wpadł we wnyki zastawione na środku boiska i runął na ziemię. Jeszcze zanim przewrócił się do końca, spojrzał na sędziego i rozpaczliwie zawył: „Faaaul!”, to samo krzyknął, wyrzucając w bok ręce, jego kolega z ataku, ale arbiter pokazał tylko, żeby grać dalej, więc Ronaldo, ale nie ten, tylko ten, który przejął piłkę, rozpoczął kontratak swojego zespołu. Długim krosem na dobieg uruchomił środkowego napastnika, a ten z dziecinną łatwością wyprzedził obu stoperów i znalazł się w sytuacji sam na sam z bram-

karzem. Bramkarz oblizał wargi z emocji i zrobił to, co robi w tak dramatycznych okolicznościach każdy znający swój fach golkiper: wybiegł naprzeciw i desperacko rzucił się pod nogi przeciwnika, starając się tą rozpaczliwą interwencją uratować swój zespół od utraty gola. Jednak ułamek sekundy wcześniej gibki napastnik wykręcił w biegu zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, dryblingiem ominął żywą przeszkodę i lekkim pacnięciem skierował piłkę do pustej już bramki, po czym podskakując i wiwatując na własną cześć oraz wyjąc „Jeeeeest!”, pogalopował aż za bramkę, aby wykonać taniec radości na oczach rozentuzjasmowanego tłumu. Ten taniec radości wyglądał, prawdę powiedziawszy, na atak padaczki albo walkę z próbującym ugryźć niewidzialnym wściekłym psem, ale ani strzelcowi, ani biegnącym ku niemu z gratulacjami kolegom nie przeszkadzało to w fetowaniu zdobytej bramki. Tak samo zupełnie im nie przeszkadzało, że w miejscu rozentuzjasmowanego tłumu nie było tak naprawdę żadnego tłumu, tylko dwóch robotników przy betoniarce, bez entuzjazmu łątających dziury w starym, zniszczonym chodniku prowadzącym do szatni. Zajęci piaskiem i cementem fachowcy w ogóle nie zwracali uwagi na emocjonującą walkę rozgrywającą się tuż obok, chyba że piłka po niecelnym strzale lądowała niebezpiecznie blisko ich nietykalnego jeszcze dzieła. Ale w wyobraźni chłopaka, który strzelił właśnie gola, możliwe są większe jeszcze cuda, niż tylko przemiana dwóch facetów z łopatami i betoniarki w falujący, bijący brawo i machający flagami tłum. Kto tego nie wie, ten z pewnością jest inwalidą, który w życiu nie

kopnął piłki. Albo półinwalidą, który owszem, kopnął, ale nigdy nie strzelił gola i nie wie, jak to smakuje.

Zatem w siedemdziesiątej trzeciej minucie wszystko się rozstrzygnęło. Drużyna Szkoły Podstawowej nr 28, mająca w swym składzie, sądząc z napisów na koszulkach, trzech Messich, dwóch Walcottów, dwóch Ronaldo oraz po jednym Ronaldinho, Eto'o, Smolarku i Borucu, prowadziła już dwa do zera z reprezentacją Szkoły Podstawowej nr 225 (trzech Ronaldo, trzech Klosech, dwóch Riberych, Robinho, Messi i Casillas). Ponieważ przez cały mecz „dwudziestka ósemka” zdecydowanie przeważała, zakrawałoby na cud, gdyby wcześniej któraś z nielicznych ofensywnych akcji „dwieście dwudziestki piątki” zapewniła jej graczom powodzenie, czyli remis. Ale tak całkiem nie można było wykluczyć sukcesu jakiejś rozpaczliwej szarży, historia futbolu zna wcale sporo podobnych przypadków, natomiast teraz stanowczo nie należało się spodziewać, że w ostatnich minutach meczu nastąpią dwa cudy jeden po drugim, które zresztą i tak dałyby uczniom „dwieście dwudziestki piątki” tylko możliwość walki w dogrywce. Sądząc po wydłużonych buziach i po tym, jak powłóczyli nogami, szykując się do wznowienia gry, oni sami stracili już wszelką nadzieję. Lecz ten drugi gol rozstrzygnął nie tylko to, że reprezentacja SP nr 225 odpadnie z Międzyszkolnej Ligi Mistrzów. Przesądzone było i to, że Miroslav Klose nie zje dziś kolacji, bo aż do wieczora w gardle będzie miał wielką pigułę złości i smutku, która sprawi, że połknięcie czegokolwiek stanie się niemożliwe, aż rodzice zaczną się martwić, czy nie dostał tej słynnej anoreksji. Ikerowi Ca-

sillasowi otrzepującemu właśnie dres z boiskowego kurzu przyjdzie znosić docinki swoich braci, że puszczane przez niego gole to na pewno łatwe do wyłapania szmaty, zawsze tak kpią. Lionel Messi będzie się zastanawiał, jaki sens ma trening i wydawanie kieszonkowego na koszulki, getry i ochraniacze, skoro to trzeci przegrany mecz z rzędu. I tak dalej. Zupą ze zgniłej ścierki i nocnym koszmarem żółwia, któremu śni się, że goni go dziki dzik, jest życie człowieka, który właśnie wraz z całą drużyną odpadł z Ligi Mistrzów. I to, pożałuj Boże, na własnym boisku!

– Daniel, do zmiany! – krzyknął zza linii bocznej nauczyciel wuefu, pan Ząbek.

Ronaldo westchnął głęboko, schował głowę w ramionach i zasepiony poczłapał w stronę swojego trenera.

– Spróbujcie strzałów z daleka, pod poprzeczkę – doradził jeszcze bezradnie skrzydłowemu, którego miął. – Ten ich bramkarz to kurdupel, nie dosięgnie, tylko trzeba dobrze huknąć.

Przy chorągiewce gimnastykował się już zmiennik, drobny rudzielec w koszulce z nazwiskiem Rooney. Ronaldo bez przekonania przybił z nim piątkę, po czym ze wszystkich sił starał się stać głuchoniemy. Najchętniej zapadłby się, jak to mówią, pod ziemię, zawiąłby się w stumetrowy dywan i poturlał w kosmos, zniknąłby na amen, ale skoro to było niemożliwe, usiłował przynajmniej nic nie widzieć i nie słyszeć. Niestety, aż nadto wyraźnie usłyszał reprimendę pana Ząbka:

– Przez cały mecz ci powtarzam, żebyś nie kiwał, tylko podawał chłopakom! Już gardło sobie zdarłem. Miałeś do wyboru obu skrzydłowych na wolnych po-

zycjach, ale oczywiście zachciało ci się dryblowania, i co? Nadzialiśmy się na kontrę i po zawodach.

– Przecież był faul – wydusił przez ściśnięte gardło Ronaldo.

– Tak, chyba piłka cię kopnęła, taki to był faul – dociął mu jeszcze pan Ząbek, po czym zaklaskał, robiąc dobrą minę do złej gry: – No, chłopaki, walczymy do końca, jeszcze nie jest tak źle! Tylko grać piłką, dużo podać, nie bawić mi się w Brazylię!

Ronaldo z wściekłością kopnął kępkę trawy, jaka mu się nawinęła pod nogi, i zamiast w kierunku ławki rezerwowych poszedł prosto do szatni. Zaraz za boczną linią wściekłym ruchem ściągnął z siebie mokrą od potu koszulkę i z króla środka pola, mistrza dryblingu oraz strzału, wielkiego Ronaldo, zmienił się w małego, zwykłego Daniela Rucińskiego, zapłakanego ucznia szóstej „b”. Nic na to nie mógł poradzić, że wszystkie niepowodzenia i krzywdy, jakie spotkały go na boisku, skroplify się w głupie, nachalne łzy, których nijak nie można powstrzymać, bo choć zaciska się zęby i powieki, same wylażą z oczu jakby człowiek był płaczącą babą, nie piłkarzem. Przecież to nie jego wina, że sędzia był ślepy i nie potrafił dostrzec e w i d e n t n e g o faulu, przecież Daniel wyraźnie czuł, że nie przewraca się sam, ale że popycha go jakaś siła, a musiał to być przeciwnik, bo chyba nie zwałił go z nóg Duch Święty. A do szczęścia brakowało tak niewiele... Gdyby minął swoim, nie ma co ukrywać, że znakomitym zwodem tego brutalnego obrońcę, droga do bramki stanęłaby przed nim otworem, a szybkości przecież mu nie brakuje, nie musiałby podawać żadnemu ze swoich kolegów

będących może i na wolnej pozycji, ale kto wie, czy nie na spalonym, poprułby z piłką samotnym rajdem i bez dwóch zdań, strzeliłby gola jak nic, może nawet przymerzyłby eleganckim lobem w okienko i zostałby bohaterem meczu, a jutro i całej szkoły, bo na korytarzach opowiadano by sobie na przerwach, jak to urwał się obrońcy jednym zwodem i z zimną krwią strzelił temu kurdupłowi na bramce tak, że podkrecona piłka niemal otarła się o spojenie słupka i...

– Uważaj, mały, idź bokiem, nie wdepnij nam w ten beton.

W tej chwili należało się chyba cieszyć, że zamiast tłumu zgromadzonego na trybunach, piłkarza maszerującego do szatni ze spuszczoną głową widzieli z bliska tylko dwaj robotnicy, których nie interesowało nic poza świeżo wylanym betonem. No, gwoli ścisłości było jeszcze na widowni parę osób, pewnie kilkoro nadopiekuńczych rodziców koniecznie chcących zobaczyć swoje pociechy w nieudanych akcjach, plus dwóch czy trzech zabłąkanych kibiców w starszym wieku, takich zapaleńców, co to pójda na każdy mecz, nawet gdyby grały krasnale z przedszkolakami albo manekiny przeciwko pomnikom. Daniel splunął, bo zawsze dostawał ślinotoku, kiedy mu rozkazywano, jednak posłusznie ominął łatany chodnik bokiem. W chwilę później, kiedy przekraczał próg szatni, do jego uszu dobiegło gromkie „Gooool!” z jedenastu młodych gardeł. To gracze „dwudziestki ósemki” świętowali zdobycie trzeciej bramki.

Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Chłodna woda przynosiła ulgę rozgrzanemu ciału i zmęczonym mięśniom. Próbował zmyć z siebie śmiertelne zmęczenie,

gorycz porażki i to najgorsze: poczucie krzywdy, ale choćby się szorował nie mydłem, a papierem ściernym, nic by to nie pomogło. Owinął się ręcznikiem, usiadł na ławeczce i zapatrzył się we własne stopy, które tyle się dziś nadaremnie nabiegały. W szatni panowała głęboka cisza. Westchnienie piłkarza rozległo się w niej głuchym, ponurym echem. I niewiele się ta cisza zmieniła parę minut później, kiedy po skończonym meczu do Daniela dołączyła reszta drużyny. Słysząc było tylko sapanie, szuranie plastikowych korków po podłodze i szmer ściąganych strojów. Koszulki, spodenki i getry smętnie łądowały jedno po drugim na kupie pod ścianą. Gdyby ktoś chciał postawić kiedyś pomnik klęski, mógłby on przybrać kształt takiej właśnie sterty łachmanów. Nikt nic nie mówił.

Ławki, wieszaki, rząd szafek i skrzynka wody mineralnej. Chyba wszystkie szatnie piłkarskie świata są do siebie podobne. I we wszystkich jednakowo pachnie starymi piłkami, butami i potem sportowców, z którym to zapaszkiem daremnie zмага się woń mydła, kosmetyków i środków czyszczących. Jest to przykry, odbierający chęć do życia szatniany smród zmęczenia i porażek. Ale ten sam odór po wygranym meczu okazuje się czymś zupełnie innym, staje się słodkim, upajającym zapachem zwycięstwa, życia i radości. To dziwne, że coś, co jest takie samo, może być zarazem inne, ale z niektórymi rzeczami tak właśnie jest. Zresztą szatnie piłkarskie to nie jedyne pomieszczenia, które pachną niby zawsze jednakowo, a mimo to zupełnie inaczej w zależności od okoliczności. Na przykład w gabinecie dyrektora szkoły inaczej pachnie, kiedy prowadzą na

dywanik skazańca, który coś przeszkrobał, a inaczej, kiedy wręczają tam człowiekowi dyplom lub udzielają pochwały. Co, powiedzmy sobie szczerze, zdarza się dużo rzadziej niż upomnienia i nagany, bo tak urządzony jest świat. Przynajmniej świat szkolny.

– No to dupa – powiedział wreszcie ktoś spod ściany.

Chłopcy pokiwali głowami i trwali w milczącym zamyśleniu, jak gdyby te słowa zawierały w sobie niezwykłą mądrość. Podobna cisza panuje czasem w kościele, kiedy ksiądz skończy kazanie jakimś szczególnie wzniosłym zdaniem, które wymaga potem chwili namysłu, aby wszyscy zdołali przetrawić i przyswoić głęboki sens tego, co mieli zaszczyt usłyszeć. Cisza potrwała jeszcze chwilę, a potem bramkarz, który już nie był Ikerem Casillasem, uzupełnił wypowiedź kolegi:

– Dupa totalna. Moi brachole pękną ze śmiechu, jak im opowiem.

I na tym rozmowa się skończyła, bo nikt nie miał nic więcej do powiedzenia. Czasem piłkarze po meczu się kłóca, mają żal, że ten czy tamten popełnił jakiś błąd albo po prostu zagrał poniżej swojego poziomu, ale czasem są tak zniechęceni, że nawet im się kłócić nie chce. I to był właśnie ten przypadek. Po prostu świat przestał mieć jakikolwiek sens, kula ziemską jeszcze się obracała, ale chyba ledwie siłą rozpędu i tylko patrzeć, jak zatrzyma się na dobre. Daniel skończył się ubierać, zarzucił na ramię torbę sportową z logo Realu Madryt, rzucił wszystkim i nikomu ciche „cześć” tonem takim, jakby mówił do ścian szatni, i poszedł do domu. Był naprawdę zły. Nawet nie spojrzął na pana Ząbka, który w najlepsze dyskutował przed wejściem z nauczycielem

prowadzącym drużynę przeciwnika i jakimś obcym gościem. Toteż nie zauważył, że oni spojrzeli na niego.

Daniel był autentycznie przygnębiony. A mało kto zdaje sobie sprawę, jak takie przygnębienie potrafi przygnębić. Tyle się na przykład mówi o zachowywaniu ostrożności podczas przechodzenia przez jezdnię, a jakoś nikt jeszcze nie zwrócił uwagi na to, że powinno się wdrożyć specjalny program ochrony przed wypadkami chłopaków wracających do domu po przegranym meczu. Człowiek nie widzi wtedy rozpedzonych samochodów i nie bardzo odróżnia czerwone światło od zielonego. Jest mu wszystko jedno, a przed oczami i tak wciąż wyświetla mu się film z zakończonego właśnie meczu, akcja po akcji. Wciąż to przeżywa. Daniel wracający z meczu w stanie, w jakim Krzyżacy wracali spod Grunwaldu, tylko dlatego nie wpadł na żadne drzewo ani latarnię, że majaczyły mu one na drodze jak przeciwnicy, których piłkarz omija odruchowo, nie myśląc o tym. Na pierwszym czerwonym świetle stanął na baczność, bo wydawało mu się, że właśnie zobaczył czerwoną kartkę.

– Przyjacielu, zaczekaj chwilę! – zza odsuniętej szyby szpetnie brązowego samochodu uśmiechał się przyjaźnie starszy facio łysy jak kula do kręgla. – Możemy chwilę porozmawiać?

– Że niby co? Do mnie ta gadka?

Nieznajomy skinął łysą łepetyną.

– Do ciebie. Mam pewną propozycję.

Zapaliło się zielone światło i Daniel przemaszerował nieznajomemu przed nosem samochodu. „Audi 80, zabytek klasy zerowej” – odnotował mimowolnie i z po-

litowaniem. Ponieważ wokół kręciło się kilkoro przechodniów, ośmielił się i powiedział:

– A ma pan w tej superbryce opcję „Zgłoś pedofila”?

Nie było to grzeczne pytanie i Daniel zadał je nawet się nie zatrzymując. Kłopoty obcego, który zabłądził swoim rupieciami w obcym mieście i chce dowiedzieć się o drogę, a może jest zwyczajnie stuknięty, mało go obchodziły. Trudno też być uprzejmym, kiedy przegrało się mecz, zostało się zdjętym z boiska, a lzy i pot jeszcze nie zdążyły człowiekowi porządnie obeschnąć. Zadowolony, że udało mu się przygadać intruzowi, Daniel splunął, bo lubił sobie plunąć, kiedy udała mu się jakaś złośliwa odzywka. I pomaszerował dalej, jednak ten w samochodzie cierpliwie jechał na jedyńce równolegle do niego.

– Byłem przed chwilą na waszym meczu. Myślę, że nie mieliście szans wygrać, chyba że zamurowalibyście własną bramkę i liczyli na pojedyncze, szybkie kontry. Jestem trenerem i trochę się znam na tych sprawach, zresztą rozmawiałem z waszym panem od wuefu także o tobie. Widać, że masz niezłą technikę, ale dobra kiwka to nie wszystko, czasem naprawdę warto podać lepiej ustawionemu koledze. Zresztą ta ruleta, musisz przyznać, nie wychodzi ci jeszcze doskonale. Zaczekaj, nie naburmuszaj się.

Stare audi przyspieszyło trochę i wskoczyło na krawężnik dwadzieścia metrów przed Danielem. Łysy znawca tajników futbolu zaciągnął hamulec i wysiadł. Kula od kręgli szeroko uśmiechnęła się do Daniela.

– Nazywam się Jerzy Pietrzyk. Prowadzę szkółkę piłkarską i próbuję zebrać niezłą ekipę na nowy sezon.

Prawdziwa liga, nie żadne szkolne rozgrywki o puchar z plastiku. No i sprawa jest taka, że chętnie bym cię widział w mojej drużynie. Chciałem o tym z tobą porozmawiać w obecności pana Ząbka, ale jakoś szybko się zmyłeś, dlatego zaczepiłem cię teraz. Za łamagą na drewnianych nogach bym nie jechał, ale ty masz chyba talent do kopania.

Nieznajomy ubrany był w dres sportowy, co przemawiało na jego korzyść. I rzeczywiście, przypomniał sobie Daniel, zdaje się, że pan Ząbek rozmawiał po meczu z kimś podobnym. Po chwilce wahania pozwolił sobie uścisnąć dłoń, a nawet – jako młodzieniec dobrze wychowany, choć aktualnie zły na cały świat – wymruczał pod nosem:

– Daniel Ruciński...

Nienawykły do takiej kurtuazji u siebie samego, nie bardzo wiedział, jak ma się właściwie zachować. Rozmowy z dorosłymi to w ogóle trudna sprawa i strata czasu, każdy o tym wie. Z własnymi starymi ciężko się czasem dogadać, co dopiero z nieznajomym. Daniel jeszcze nie wyzbył się nieufności, jednak spodobało mu się, że prawdziwy trener piłkarski próbuje go ściągnąć do swojego zespołu. Na wszelki wypadek zapytał jeszcze:

– Ale czy pan na pewno jest, noo... tego... prawdziwym trenerem?

– Spokojna głowa – mężczyzna sięgnął do auta, obok którego wciąż stali, i wyłonił się z niego z karteluszkiem w ręce. – To moja wizytówka. Jest tam podany numer telefonu i wszystko, co trzeba. Jakbyś chciał u mnie trenować, i przede wszystkim jeśli twoi rodzice nie będą

mieli nic przeciwko temu, to niech zadzwonią, a ja powiem im dokładnie co i jak. Drużyna nazywa się FC Przyjaciele.

– FC Przyjaciele? Dziwna nazwa.

– Nazwa jak każda inna. A powiedz mi jeszcze, często łapiesz żółte kartki na meczach?

– No, zdarza się – Daniel uśmiechnął się pierwszy raz podczas tej rozmowy.

– A za co najczęściej?

– Najczęściej? Najczęściej to chyba za dyskusje z sędzią. A bo co?

– Nic, tak tylko pytam. Wydawało mi się właśnie, że opanowanie emocji to jest to, nad czym powinienes trochę popracować. Dzisiaj też, gdybym był na miejscu sędziego, pokazałbym ci żółtą wtedy, jak się wyklócałeś o zagranie ręką...

– E tam. Pan nie wie, jak trudno wytrzymać, kiedy się widzi rękę jak na dłoni, a sędzia jest niesprawiedliwy i nie raczy dmuchnąć w gwizdek.

– Spokojna głowa, trochę jednak o tym wiem... Fakt, nie jest łatwo się powstrzymać. Ale to nie jest niemożliwe. Dlatego mówię, że trzeba nad tym pracować. Dobra, spadam, bo tu nie wolno parkować i zaraz wlepią mi mandat. Niech rodzice koniecznie zadzwonią. Albo możesz po prostu przyjść na trening, w poniedziałek o szesnastej, to jest boisko przy Elekcyjnej, wszystko masz tam dopisane długopisem na odwrocie. Trzymaj się. I nie myśl już o meczu, który przegrałeś. Pomyśl o tych, które wygrasz w przyszłości. No, do widzenia.

– Do widzenia.

Wiekowe audi zaryczało, stęknęło i potoczyło się przed siebie. Daniel został sam ze ściśniętą w rękę wizytówką, której zaraz uważnie się przypatrzył. Przypłapał się na tym, że w pierwszej chwili chciał ją obejrzeć pod słońce, jak podejrzany banknot. W końcu nie co dzień spotyka się na drodze życiowej prawdziwego trenera z prawdziwego klubu!

Z tym prawdziwym klubem to jednak mogła być jakaś blaga. Po pierwsze, prawdziwy klub powinien się nazywać Legia, Gwardia, Polonia albo jakoś podobnie, a nie Przyjaciele. Po drugie, klub to klub, a nie jakaś szkółka dla opóźnionych w rozwoju. Tymczasem na wizytówce stało jak byk: „Szkółka Piłkarska FC PRZYJACIELE. Trener II klasy Jerzy Pietrzyk. Dla chłopców z Woli i nie tylko. Zajęcia trzy razy w tygodniu, na boisku przy ul. Elekcyjnej. Zimą treningi w hali”. Obok narysowany był hipek trzymający stopę na piłce, klasycznej „biedronce”. Niżej, w rogu, widniał adres, e-mail i telefon.

Klub czy szkółka, z rozmowy z trenerem pożytek był przynajmniej taki, że w dalszej drodze Daniel nie myślał już wyłącznie o przegranym meczu. Owszem, o meczu przede wszystkim, ale chwilami jego myśli biegły też ku jaśniejszym stronom rzeczywistości. Jakby Ziemia znowu troszkę przyspieszyła i wracała do swoich normalnych obrotów. Może rzeczywiście warto zapisać się do tej szkółki? Nowy znajomy, to było widać od razu, znał się na futbolu dziesięć razy lepiej niż pan Ząbek, który był miłośnikiem przede wszystkim lekkoatletyki i najchętniej na każdym wuefie kazałby biegać w kółko dookoła boiska, aż do porzygania. Na przy-

kład o taktyce i strategii pan Ząbek potrafił powiedzieć tylko jedno, zawsze to samo zdanie: „Nie kiwać mi się, grać podaniami!”. Jakby piłka nożna była jakąś zabawą w podaj dalej. I nie znał żadnego innego ustawienia taktycznego poza starodawnym 4-3-3. A ten trener na pewno ma wszelkie rozwiązania strategiczne w małym palcu. Wiedział, że ruleta Zidane’a nazywa się ruleta. No i powiedział też, że zauważył u Daniela talent. A talent należy rozwijać, co nie? Wszystko zdawało się przemawiać za tym, żeby spróbować swych sił w nowej drużynie. Tylko czy przemówi to też do rodziców? Pod tym względem Daniel był raczej dobrej myśli. Rodziców miał w miarę spoko. W jego klasie niewiele się rozmawiało o rodzicach, bo wiadomo, że są ciekawsze tematy, ale wystarczyło tych rozmów, żeby wytworzyła się taka nieoficjalna klasowa skala oceniania mam i tatusiów. W skali tej rodzice „w miarę spoko” plasowali się całkiem wysoko, wyżej byli już tylko rodzice „całkiem spoko” i „ekstra”, choć oczywiście kategoria „ekstra” była czymś podobnym do wzorowej oceny ze sprawowania, niedosiężnym dla nikogo szczytem. Najgorzej mieli ci, którzy swoich starych uczciwie oceniali jako „nie do życia” lub „totalnie badziewnych”.

Szkoła była oddalona od bloku, w którym mieszkał Daniel, o dwa dobre rzuty beretem. Chłopiec przekroczył Górczewską i po dwóch minutach dotarł do domu. Serią sprytnych dryblingów ominął swoją w miarę spoko mamę, która koniecznie chciała się dowiedzieć, czy w szkole wydarzyło się coś ważnego i czy dostał dziś jakiś stopień, po czym dopadł komputera.

– Przed rodzoną matką uciekasz, gałganie? Może jednak, zanim wsiąkniesz w swój wirtualny świat, odpowiesz mi łaskawie, co tam dzisiaj w szkole.

– W szkole jak w szkole. Raz na górze, raz na dole.

– Ale co, były jakieś stopnie?

– Były, lecz stawiane pochopnie.

– Uważaj, bo matka nie wytrzyma i cię kopnie – wytargała go za ucho. Ale tak, jak się targa za ucho ulubionego psa. – Wysuszyłbyś te włosy, bo masz mokre i zrobią ci się koguty.

– Wystarczy, że mama suszy mi głowę tymi odwiecznymi pytaniami.

Dla dobra rodziców Daniel skłonny był jednak do daleko idących poświęceń. Czekał na załadowanie się Football Managera, usiłował sobie przypomnieć, co właściwie działo się w szkole. W tym celu musiał przewinąć w głowie film z dzisiejszym dniem: najpierw przypomniał sobie rozmowę z tym trenerem, jak mu tam, Pietrzykiem. Potem obejrzał od tyłu i w bardzo przyśpieszonym tempie przegrany mecz, a dopiero później był w stanie sięgnąć pamięcią do ostatniej lekcji, co to było, aha, przyroda...

– O, już wiem, dostałem cztery plus z przyry. Mogę się zapisać do szkołyki piłkarskiej?

– Ale co, z jakiej okazji ta czwórka? Byłeś pytany?

– Nie, pani Sowińska oddała tą kartkówkę z wtorku. Graliśmy dzisiaj w Międzyszkolnej Lidze Mistrzów.

– I co?

– Nic. Przegraliśmy, odpadliśmy. Ale po meczu poznałem takiego jednego niby-trenera, i on mi dał wizytówkę. Prowadzi szkołkę piłkarską. Tylko musicie

do niego zadzwonić i potwierdzić, że mnie zapisujecie.

– To już ojciec niech zadzwoni, jak wróci. Ja się tam nie znam na tych waszych szkółkach. Ale przecież masz już pod dostatkiem zajęć dodatkowych, jeszcze ci piłki trzeba?

– Mamuś! Mama nie wie, co mama mówi. Czy mama wie, jak współczesna młodzież jest zaniedbana pod względem tężyzny fizycznej? Jakie mamy krzywe kręgosłupy? Niech mama, spojrz, o! – Daniel zgiął się nad klawiaturą w pałak. – Skolioza, skleroza i borelioza. Tylko piłka może mnie uratować! Jak się nie będę wyrabiał z czasem, to można z tych lekcji angielskiego zrezygnować. Piłkarz nie musi znać angielskiego bardzo dobrze, wystarczy taki bejzik inglisz, żeby rozumieć trenera w szatni i kolegów na boisku, ju no!

– Z kręgosłupem masz rację, prosty to on nie jest. Moim zdaniem to komputeroza. Ale na kręgosłup najlepsze pływanie.

– „Popłynemy tam, popłynemy tam, gdzie stary Liverpoolooooo!” – zaskoczył matkę Daniel, rycząc z pamięci kawałek ulubionej szanty. Zaskoczył też i siebie, bo właściwie szanty nucił tylko wtedy, kiedy był w dobrym humorze. A teraz był przecież w humorze bardzo złym.

– Boże, jakiego ja mam zakręconego syna – sapnęła pani Rucińska. – Nie mógł mi się wylosować jakiś normalniejszy egzemplarz?

– A wie mama, że Liverpool pozbył się dwóch swoich kluczowych rozgrywających? Jednego sprzedał, a drugiego wypożyczył. Dobrze, dobrze – Daniel dostrzegł minę mamy i mrugnął – wycofuję to pytanie.

– To załatw sobie z ojcem tą swoją kopaninę. Pojechał na działkę, ma wrócić jakoś po siódmej. I nie zapomnij wyjść z Frytką.

– Nie zapomnę.

Z powitalnego ekranu Football Managera świecił do Daniela zębami, kolczykiem i żelem na fryzurze malowniczy Cristiano Ronaldo. Po chwili Daniel zapomniał nie tylko o suczce Frytce i obowiązkowym spacerze z nią, lecz także o całym bożym świecie. Przeistoczył się w menadżera królewskiego Realu Madryt w samym środku gorącego sezonu, a to stawiało przed nim wyzwania, przy których błędnie zarówno psia potrzeba spaceru, jak i chore wymagania dotyczące właściwej dla kręgosłupa pozycji przed monitorem komputera. Człowiek, który prowadzi drużynę na trzech frontach naraz, walczy z nią w Primera Division oraz w pucharach krajowych i europejskich, który ma na głowie sprawy transferów i wypożyczeń, taktyki, kondycji całej ekipy i każdego piłkarza z osobna, nie może jednocześnie myśleć o tym, czy aktualnie prosto siedzi. Teraz jego zespół czekał wyjazdowy mecz z zawsze groźną Sevillą. Bronić strefą czy kryć przeciwników metodą każdy swego? Jak zestawić linię ataku? Co powiedzieć swoim chłopcom w szatni przed wyjściem na murawę, żeby wzbudzić w nich ducha walki? To były pytania, na które musiał teraz odpowiedzieć.

– Wyskoczyłbyś synku do sklepu? Zapomniałam kupić cebulę.

Pięknie, nie ma co. Takie właśnie jest życie. Trybuny stadionu powoli się zapełniają, zawodnicy są już po rozgrzewce, sędzia techniczny sprawdza, czy ich korki

są w porządku, i wtedy właśnie przed zespołem wyłania się niezwykle ważki problem cebuli.

– Ale się nagrałem! – burknął Daniel pod nosem. – No dobrze, już idę. Tylko sobie zapiszę stan gry... To i Frytkę od razu wezmę, będę ją miał z głowy.

Kundelka ze śladami jamnikowatości postawiła uszy na dźwięk swojego imienia. Daniel kliknął „Zapisz” i ustawienie Realu na mecz z Sevillą zostało zachowane. Mama wręczyła synowi dwa złote i torbę, a on włożył buty i zdjął z wieszaka smycz, na co Frytka zareagowała radosną gimnastyką ogona. Frytka nazywała się kiedyś Fryga, ale drogą licznych i niemożliwych już do odtworzenia zdrobnień przeistoczyła się we Frytkę. Jej samej drobna zmiana imienia była zupełnie obojętna. Ważne, żeby micha była pełna i żeby trzy razy dziennie zaliczyć spacerek. Reszta się nie liczyła.

– Mama, ile ta cebula będzie kosztować?

– Weź dwie mniejsze albo jedną dużą. Pewnie wyjdzie z pięćdziesiąt groszy.

– To dołóż złocisza, kupię sobie lody.

Nad Warszawą świeciło wiosenne słońce. Pakując cebulę, sprzedawczyni z warzywniaka o oczach zielonych jak brukselki posłała Danielowi marchewkowy uśmiech, bo dobrze go znała. Frytka strzeliła gola na swoim ulubionym trawniku, a Daniel zebrał plon tej czynności do papierowej torby, starając się nie patrzeć za bardzo w jego stronę. Wyrzucił torebkę do pierwszego kosza na śmieci, który Frytka natychmiast dokładnie obwąchała, bo obwąchiwała wszystko, co spotkała na drodze. Wszystko: ściany, słupy latarni, kosze na śmieci i same śmieci, schody, nawet zużyty bilet popychany

przez wiatr i wędrujący sobie na gapę ulicami stolicy. Jakby chciała obwąchać cały świat. Jeżeli jest piątek, ładna pogoda i dwa dni bez szkoły w perspektywie, i jeżeli człowiek idzie sobie z wachającym wszystko psem, liżąc lody i kopiąc od niechcenia cebulę w torbie trzymanej w drugiej ręce, a ponadto jeżeli ma trenować w nowym klubie, to nawet jeśli ten klub nazywa się Przyjaciele i odpadło się z Ligi Mistrzów, świat wydaje się całkiem znośny. Nie ma co narzekać. Samym narzekaniem nikt jeszcze nie wygrał żadnego meczu, choć taki pan Ząbek chyba wierzył, że można.

Spuszczona z uwięzi Frytka cieszyła się wolnością. Mieli z Danielem umowę, że pół spaceru Daniel prowadzi swą psinę na smyczy, a drugie pół odbywa się bez smyczy i wtedy to Frytka wybiera trasę, a Daniel cierpliwie podąża za nią. Oczywiście była to tzw. „niepisana” umowa, bo Frytka nie umiała pisać, ale i bez tego była mądra i wiedziała wszystko, co kulturalny miejski zwierz wiedzieć powinien: że nie robi się kupy na chodniku, nie szczeka bezsensownie na każdego napotkanego psa, nie wbiega na ulicę itd. Uczciwie trzeba przyznać, że gdyby Frytka umiała pisać, mogłaby prowadzić kącik *savoir-vivre*’u w czasopiśmie „Twój Pies”. Mówi się czasem, że psy potrafią odczytywać myśli swoich panów. Czy to prawda, niech sprawdzą jacyś uczeni kynolodzy. Faktem jest, że teraz albo wiedziona instynktem, albo zupełnie przypadkowo, poprowadziła Daniela prościutko w stronę szkolnego boiska. Najkrótszą drogą, choć oczywiście gęsto usianą postojami w celach obwąchiwawczych. Skoro już się tam znaleźli, Daniel pchnął furtkę i weszli na szkolny

teren. Z bramek ściągnięto już siatki, a z narożników boiska zniknęły chorągiewki. Po robotnikach została tylko betoniarka przykuta łańcuchem do ogrodzenia i płachty folii okrywające betonowe plomby chodnika, dla bezpieczeństwa przyciśnięte kamieniami. Zachodzące słońce kładło długie cienie bramek na dziwnie cichym boisku. Byłoby to bardzo romantyczne, gdyby nie Frytka, która od razu podbiegła do bliższej bramki i uroczyście nasikała pod jednym, a zaraz potem pod drugim słupkiem. Zachowywała się trochę jak bramkarz przed meczem: bramkarze mają takie swoje zabobony, które każą im przed rozpoczęciem gry odprawić czary-mary, kopnąć w oba słupki i poklepać poprzeczkę albo trzy razy obejść pole bramkowe i wyznaczyć podeszwą linię określającą środek bramki.

Kiedy Frytka hasała zajęta swoimi sprawami, Daniela coś tknęło i zatrzymał się przy betoniarce. Murarska maszyna wcale go nie interesowała, w porównaniu z samochodami było to urządzenie proste jak konstrukcja cepa. Co innego chodziło mu po głowie. Schrupał resztkę wafla od lodów. Rozejrzył się, wokół nie było żywego ducha. Kamienie przyciskające folię nie były bardzo duże. Wokół leżały za to mniejsze kamyki, a jeden przypominał od biedy rylec, jakim starożytni Sumerowie czy inni Egipcjanie rysowali znaki na swoich glinianych tabliczkach. Tadamm! Raz kozie śmierć. Daniel należał do chłopców, którzy, kiedy coś wpadnie im do głowy, najpierw to robią, a dopiero potem myślą. Bo i po co tracić czas na myślenie o czymś, czego może w ogóle się nie zrobi? Wypatrzył sporą łąkę świeżego betonu, odsunął folię, zdjął but i skarpetę, rozejrzył się jeszcze

na boki i energicznie wdepnął w sam środek tej łąty. Beton już trochę zeszywniał, jednak ugiął się pod mocno weń wciśniętą stopą. Stojąc na jednej nodze, Daniel kilkakrotnie bujnął się w miejscu, tak jak buja się ktoś, komu winda stanęła między piętrami, a on próbuje zmusić ją do dalszej jazdy napieraniem stóp na podłogę. Potem, stając w szerokim rozkroku, chłopiec postawił drugą nogę na trawie i ostrożnie, pomalutku wyciągnął nogę z betonowego zakalca. Podrapał się po szyi, patrząc w zamyśleniu na odcisk własnej stopy. Nie był całkiem zadowolony ze swego dzieła, więc przykucnął i coś tam jeszcze wygładził i poprawił. Sięgnął po upatrzony kamyk i pośpiesznie wyskrobał obok niezgrabnymi kulfonami: RONALDO.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy

tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa

tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl **www.nk.com.pl**

Książkę wydrukowano na papierze

Creamy 60 g/m² wol. 2,0.

ZING

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*

Opieka redakcyjna *Małdalena Korobkiewicz*

Korekta *Monika Hałucha*

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Irmiona Garlej, Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-13108-9

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań